

Izabela Gass

Warszawa

Praskie dzieje mojej rodziny

Kiedy zabrałam się do pisania tych wspomnień i przeglądania papierów rodzinnych, ogarnął mnie wielki smutek i przygnębienie. Wszystko minęło. Z racji zawodu (archiwistka) jestem przyzwyczajona do wertowania papierów rodzinnych. Ale co innego cudzych, a co innego własnych.



Moje chrzciny 29 listopada 1951 r. Rodzice chrzestni: Danuta Mikos i Jan Winterot.
Pierwszy z prawej – mój tata¹

¹ Fotografie pochodzą ze zbiorów rodzinnych autorki.

Na początku była ulica Szwedzka. Tu urodziłam się w domu pod nr. 25 m. 33. Nazwa ulicy pochodzi od Szwedzkich Gór, gdzie podobno 30 lipca 1656 roku rozegrała się bitwa.

Szwedzka sprzed 65 lat, jak i cała Praga, to był jeszcze XIX wiek. Kocie łby, domy bez ubikacji, pełno drewniaków, co rusz płonących (jak szeptano, podpalali je sami lokatorzy, aby dostać nowe mieszkania), furmanki z węglem lub kartoflami. Dziwne, pamiętam tylko Szwedzką jesienią (te furmanki z kartoflami, kapustą, cebulą) i zimą (kupowanie choinek w składzie węglowym i piękne bombki na straganach przed bazarem Różyckiego), zapach dymu i palonego węgla. Jak przez mgłę pamiętam procesje Bożego Ciała, kiedy wolno było im jeszcze chodzić ulicami. Na Szwedzkiej strojono pięknie bramę dywanikami, tatarakiem, świętymi obrazami. My zawsze dawaliśmy obraz Madonny – który jest w moim domu do dzisiaj. Jest to litografia odbita na płótnie. Raz czy dwa jako „bielanka” w ubranku krakowskim sypałam kwiatki. Jakże te stroje krakowskie dla dzieci były modne w czasach mojego dzieciństwa!

Chorowałam mało: odra, ospa, szkarlatyna. Kiedy zachorowałam przychodziła do mnie lekarka z przychodni dziecięcej aż z ulicy Zaokopowej. Na biegunki przepisywała marchwiankę, na zaziębienia syropy, a na poważniejsze choroby zastrzyki z penicyliny, które robiła pielęgniarka z sąsiedztwa, córka szewca z kamienicy obok. Doktor była bardzo miła, w wieku babci. Może studia przed I wojną skończyła w Szwajcarii? Któż to wie...

Ulica Szwedzka miała mało sklepów, w zasadzie tylko na odcinku od ul. Wileńskiej do Kowieńskiej. A więc idąc od ul. Wileńskiej, po parzystej stronie była apteka (róg Stalowej), skład węgla (na Boże Narodzenie kupowało się tutaj choinki), konfekcja (jakieś bluzki, bielizna). Po stronie nieparzystej: przy rogu ul. Stalowej koszmarny szynk, na schodkach którego zawsze leżał jakiś pijak, sklep spożywczy, warzywniak, szewc, warzywniak i kiosk ruchu. W tym kiosku kupowało się „Express Wieczorny” i „Życie Warszawy”, dla ojca „Poznaj Świat”, dla mamy „Przyjaciółkę”, a dla mnie „Misia”, „Świerszczyk”, potem „Płomyczek”, „Płomyk”, „Filipinkę” – adekwatnie do wieku. Po „Życie Warszawy” szczególnie ochoczo biegałam rano w niedzielę, gdyż wtedy był dodatek ilustrowany, a w nim fotografia którejś z popularnych wówczas aktorek: Giny Lollobrigidy, Sophii Loren, Brigitte Bardot, a ja wtedy zbierałam fotosy aktorek. Tata przyniósł mi od swojego kolegi z pracy dwa wielkie zeszyty pełne fotografii aktorów po swojej córce, która już wyrosła

z tego hobby. Co to była za radość! Niezbyt zwracałam uwagę na fatalną jakość zdjęć.

Na rogu ulicy Szwedzkiej i Wileńskiej był kościół pw. Matki Boskiej z Lourdes. Historia świątyni jest nierozzerwalnie związana z Domem Pracy dla Chłopców, który w 1900 roku założyło małżeństwo Mańkowskich. Była to placówka opiekuńczo-wychowawcza dla ubogich chłopców, na której potrzeby wystawiono budynek właśnie na rogu ul. Wileńskiej i Szwedzkiej. W 1917 roku Mańkowscy przekazali placówkę księżom marianom. W połowie lat 30. rozpoczęto budowę kaplicy na sąsiedniej działce. W niej moi rodzice brali ślub, ja byłam chrzczona, przystąpiłam do komunii św. i byłam bierzmowania. Obie z babcią lubiłyśmy chodzić na wieczorne msze św. Wtedy było mało ludzi, a my i tak szłyśmy na tzw. chór, aby mieć ciszę i moc usiąść. Wracając z kościoła zawsze oglądałyśmy fotosy Teatru Ludowego, potem noszącego nazwę Ziemi Mazowieckiej. Bowiem teatr był naszą wspólną pasją.

Wydaje mi się, że chodziłam do teatru bardzo często i to głównie zimą, ale jak przejrzałam repertuar teatralny z tego okresu to wygląda, że nie było za dużo przedstawień dla dzieci: *Kot w butach* (1955), *Królowa śniegu* (1957) *Kopciuszek* (1960). Ale tych przedstawień nie pamiętam. Pamiętam jedynie *Romans z wodewilu* (premiera 13 grudnia 1958 r.). Nadal widzę babcie ubraną w garsonkę z rypsu w kolorze bordo w brązowe ciapki, z lisem na szyi, z brązową torebką, w której były czekoladki dla wnuczki. Babcia lubiła się stroić, w przeciwieństwie do mamy. Obowiązkowy strażak na widowni, gong przed rozpoczęciem przedstawienia i piękna szopka krakowska wniesiona na scenę. Byłam oszołomiona i tę scenę mam jakby wbitą w pamięć. Sam spektakl widziałam jeszcze dwa razy w latach 70., w Krakowie: w wykonaniu amatorskim w Domu Kolejarza i w wykonaniu Teatru Ludowego w Nowej Hucie. To ostatnie pełne było pełno humoru, piosenek – jak to w wodewilu.

Inny teatr, do którego chodziłam z babcią, to był kukielkowy Teatr „Baj” przy ul. Jagiellońskiej. Istnieje do dzisiaj, właśnie przechodzi remont kapitalny. Pamiętam bajkę Andersena *Król jest nagi* i *W pustyni i w puszczy*. Bardzo się zlekłam huku wystrzałów z kapiszonów, którymi Staś zabił lwa i Arabów. Dziwne, ale też chodziłyśmy tam zimą. Jeszcze mam przed oczami choinkę w małym foyer. I stary słup z afiszami teatralnymi.

Naszym kinem była „Syrena” przy ul. Inżynierskiej 4. Powstało w latach 20. i grano tam jeszcze nieme filmy. Z babcią widziałam francuski film z 1962 roku *Tajemnice Paryża* z Jeanem Marais. Był kolorowy i bar-

dzo mi się podobał. Inny film to *Niezastąpiony kamerdyner* z 1957 roku. Jego treść pamiętam dokładnie do dzisiaj.

Czasami chodziło się do kina „Praha” na ul. Jagiellońską, najczęściej ze szkołą na *O krasnoludkach i sierotce Marysi* (1961), *Awanturę o Basię* (1959) i *Godzinę pąsowej róży* (1963). Bardzo głośna była premiera filmu *Krzyżacy* w 1960 roku, który oglądałam z ojcem w kinie „1 Maja”.

Naprzeciwko mojego domu wznosiły się kominy fabryki wybudowanej w końcu XIX wieku (Szwedzka 20). W okresie międzywojennym mieściła się tam fabryka „Schicht-Leve”, która produkowała słynne mydło do prania „Biały jelen” i proszek do prania „Radion”. Po wojnie fabrykę przekształcono w zakłady „Uroda”, które wytwarzały popularne w kraju kosmetyki, jak szampon „Familijny” i wodę męską „Wars”. Na portierni fabryki był jedyny telefon w okolicy. W domu jakoś każdego mydła porównywało się zawsze z „Białym jeleniem” i był to wyraz uznania.

Na drugim końcu Szwedzkiej znajdowała się piekarnia z 1900 roku (ul. Stolarska 2/4) i nasyp kolejowy, gdzie chodziłam z babcią „na piknik”.

Praga to także ulica Stalowa, jedna główniejszych arterii tzw. nowej Pragi, gdzie już w 1910 roku puszczono tramwaj. Wytyczono ją już w latach 60. XIX wieku. Na krańcu ulicy została otwarta w 1879 roku Warszawska Fabryki Stali, w skrócie zwana stalownią. Praska stalownia należała do największych zakładów produkcyjnych na terenie Królestwa Polskiego. Jednak w 1888 roku przyszedł kryzys i zakłady przeniesiono w głąb Rosji. Po jej likwidacji rosyjskie wojsko zorganizowało w budynkach pofabrycznych warsztaty artyleryjskie. W okresie międzywojennym teren przeszedł na własność Wojska Polskiego, które w maju 1920 roku zlokalizowało tu Zbrojownię nr 2, gdzie remontowano sprzęt wojskowy i prowadzono produkcję na rzecz armii. Tu pracowali moi krewni Winterotowie.

Krótko przed II wojną światową, w 1939 roku, na warszawskiej Pradze żyło 21 705 Żydów, sklepikarzy, rzemieślników, lekarzy, kamieniczników. Mama zawsze wspominała, że przed wojną u Żyda na Stalowej można było kupić wszystko. Nikt nie jeździł do Warszawy. Bo i po co?

Kiedy w 1940 roku otwarto getto w lewobrzeżnej Warszawie, praccy Żydzi musieli się tam przenieść. Mama opowiadała mi o tym jak szli w milczeniu jezdnią ulicy Stalowej. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Na chodniku stali Polacy też w milczeniu. Jakiś wyrostek obok mamy krzyknął coś w rodzaju „Jude raus!”, ale stojący obok mężczyzna palnął

go ręką w głowę, więc zamilkł. To dziwne, ale w czasie mojego dzieciństwa nikt nie wspominał o Żydach, jakby nigdy tutaj nie mieszkali, jakby nagle wyparowali. No, cóż była wojna – mówili mi później bliscy. Czasem ojciec opowiadał, jak robił im kawały podczas święta szafasów, kiedy na podwórku budowali kuczki, a mama wspominała swoją ulubioną koleżankę z klasy – Żydówkę. Pod koniec życia, na początku XXI wieku, chciała ją odszukać. „Mamo, po tylu latach – mówiłam – nawet nie pamiętasz dobrze jak się nazywa. Na pewno nie żyje, wywieźli ją do Treblinki”. Ale tak to się dzieje z ludźmi na starość, wspomnienia przytłaczają, zmniejsza się odległość czasowa. Wtedy też nie chciałam tego słuchać, było to dla mnie nieważne. Tak jak teraz nikt nie chce słuchać moich wspomnień.

Stalowa to było gniazdo rodziny, główna „rodzinna ulica”, oprócz nas, wszyscy znani mi z dzieciństwa krewni, mieszkali na Stalowej, więcej w jednej kamienicy, gdzie wuj Władysław Grabowski miał cukiernię (ul. Stalowa 53). Kiedy mieli przyjść do nas z wizytą wiadomo było, że przyniosą ciastka: ptysia, sokoła, stefankę, szarlotkę, napoleonkę, tortowe, ponczowe. Najbardziej lubiłam ptysie i sokoły. Kto je dzisiaj pamięta? Zostały zapomniane – może z wyjątkiem ptysia i napoleonki.

Na Stalowej znajdował się też bazar Pachulskiego. Na początku XX wieku dwaj przedsiębiorcy – Pachulski i Domański – zbudowali między ulicami Strzelecką i Stalową trzy domy robotnicze typu koszarowego. Zapewne wybuch I wojny światowej uniemożliwił budowę czwartego, który zamknąłby ten czworokąt. Pośrodku znajdował się bazar. Za mojego dzieciństwa handlowano tutaj warzywami, owocami, starzyzną, a w sobotę gołębiami, królikami, kotami i psami. Udane transakcje opijano w barze „Pod Karpem” na ul. Stalowej.

Na bazar często chodziłam z babcią. W soboty sprzedawano różne bibeloty tzw. szaber przywieziony z ziem poniemieckich. Były to obrazy, porcelana, zegary, przybory codziennego użytku, etc. Babcia czasami coś kupowała u takiej starej i brzydkiej kobiety, wprost czarownicy. Ta porcelana zbiła się podczas przeprowadzki z Wileńskiej na Stalingradzką. Mama spakowała ją do pudła, obwiązała sznurem, a tragarz wziął za sznurek i bach... wszystko poszło. Kto wie, może był tam i Rosenthal. Żałuję tego do dzisiaj.

Bazar zlikwidowano na początku 1970 roku, ale wydaje mi się, że nie działał już wcześniej. Najpierw wyprowadzili się handlarze zwierząt, później starzyzną, a na koniec warzywami. Kiedy w 1961 roku bazar zmniejszono, w jednej jego części założono lodowisko. Oświetlono

je, a z głośników popłynęła muzyka Paula Anki. Tutaj uczyłam się jeździć na łyżwach. Łyżwy były przykręcane specjalnym kluczykiem do butów, które miały odpowiedni otworek, zrobiony przez szewca. Były to miłe chwile.

Za moich czasów Stalowa zachowała sporo ze swojej przedwojennej zabudowy, a przede wszystkim z klimatu Warszawy sprzed 1939 roku. Murowane kamienice, drewniaki, nadal w każdym był sklep. Jej odcinek od Konopackiej do Inżynierskiej nosił nazwę Nowostalowej. Tutaj kamienice były wyższe, bardziej eleganckie, budowane w latach 30. Mieszkania miały ubikacje i nierzadko łazienki. Mieszkały tu dwie moje koleżanki, do których chodziłam: Iwona Heller ze szkoły podstawowej i Ewa Kempa ze studiów. Idąc Stalową, stroną parzystą, od Szwedzkiej do Konopackiej mijano sklep piśmienny, pracownię fotograficzną „Pakosz” (Stalowa 36, wszystkie moje zdjęcia stąd pochodzą), odzieżowy na rogu Czyszowej, potem jakieś magazyny, warsztaty i warsztacki, bar mleczny, pralnię, pocztę, elegancką odzież, sklep konfekcyjny, elektryczny. Po stronie nieparzystej, od Szwedzkiej znajdowały się: spożywczy, warzywniak, cukiernia Grabowskiego, mała prywatna drogeria z różnymi drobiazgami, które kupowało się na mikołajki, odzież męska, duża drogeria, warsztat ślusarski ojca mojej koleżanki Ewy Sokołowskiej, restauracja „Pod Karpiem”(tutaj dziadek Julian i mój ojciec lubili spędzać godziny przy wódeczce), spożywczy, druga cukiernia, jedyna księgarnia w tej części Pragi, sklep elektryczny. Gdzieś jeszcze była trzecia cukiernia, ale już nie potrafię jej usytuować. Za to Nowostalowa miała mało sklepów: jakiś warzywniak, spożywczy, konfekcyjny, a na rogu z Inżynierską (Stalowa 1) sklep ze słodyczami. Znajdował się on w tym samym miejscu jeszcze przed II wojną i należał do Stefana Wiecheckiego „Wiecha”, popularnego piewcy i twórcy gwary warszawskiej, który handlował w nim słodyczami firmy „Fuchs”.

Przypomina mi się także pracownia repasacji pończoch na Środkowej róg Stalowej (obok księgarni). Co to było? Kobiety wówczas nosiły pończochy, które były drogie i trudno dostępne. Tak więc jak zrobiło się oczko, to takiej pończochy się nie wyrzucało, tylko dawano do repasacji.

Ulica Wileńska powstała w 1865 roku i wówczas to była główna ulica Pragi, dojazdowa do Dworca Petersburskiego. Ruch był na tyle duży, że jeździł tędy tramwaj konny, łączący Dworzec Petersburski z Dworcem Wiedeńskim w centrum, a w 1909 roku już tramwaj elektryczny. Część Wileńskiej od Konopackiej do Targowej była reprezentacyjna, zaś ta od Konopackiej do Szwedzkiej nosiła nazwę Ciemnowileńskiej, była dużo

węższa, i wiecznie zadymiona wyziewami z pobliskiej stalowni. Wileńska to teraz kompletna ruina, ale w czasach mojego dzieciństwa budynki miały jeszcze dekoracje i piękne, kute balkony.

Na Wileńskiej skupiał się handel tej części Pragi. Co prawda na odinku Ciemnowileńskiej był tylko fryzjer, ale już od Konopackiej do Targowej Wileńska pokazywała cały wachlarz swoich handlowych możliwości. Przy Konopackiej była kwaciarnia, później spożywczy, potem cała masa małych, prywatnych sklepików, zwanych wtedy pasmanteryjnymi. Na rogu z Inżynierską znajdowała się, typowa praska „szemrana” restauracja „Pod Strzechą”, a naprzeciwko kawiarnia „Nysa” – speluna siwa od dymu. I dalej – odzież damska, męska, apteka. Dziwne, ale nie przypominam sobie żadnego sklepu mięsnego ani z materiałami. Musiały być, tylko gdzie?

I wreszcie Targowa, centrum Pragi. Nie chodziło się tam często. Tylko na bazar Różyckiego i do Pedetu Praga na „poważniejsze” zakupy, typu odzież, rower, pościel. W niedzielę na półpiętrze Pedetu czynne były delikatesy, wszędzie pachniało kawą i można było dostać blok czekoladowy lub trójkolorową galaretkę, za którą przepadałam. A na bazarze był tłum, gwar, Cyganki, przekupki sprzedawały pyzy i flaczki, których nigdy nie pozwolono mi spróbować. Mama zawsze się bała, że ją okradną. Nie lubiłam tam chodzić.

Niedziele na Pradze spędzało się tradycyjnie: kościół, spacer ulicą Stalową, oglądanie wystaw sklepowych, wizyta w cukierni wujka Grabowskiego. Czasami z babcią odwiedzaliśmy jej kuzynkę Sabinę, która z mężem mieszkała w drewniaku na Stalowej. Było to bezdzietne małżeństwo. Cała rodzina Sabiny wyemigrowała przed wojną do Ameryki. Pewnie to było rodzeństwo mojej prababki Józefy Blachowicz. W latach 60. jakaś ciotka z Rio de Janeiro odwiedziła nas w Bukowie. Czekałam na zagraniczne prezenty, a dostałam polską książkę z bajkami. Z czasem wizyty u Sabiny się skończyły, pewnie obydwójce umarli.

W niedzielę na obiad był zawsze rosół, kura, schab, sztuka mięsa, pieczeń wołowa. Czasami, na moje usilne prośby, babcia robiła pyzy. Z warzyw – buraczki, mizeria z octem, sałata polana skwarkami. Zawsze mnie to dziwiło. Skąd ten tłuszcz i te skwarki na sałacie? I oto całkiem niedawno, moja koleżanka Basia, Niemka z Saksonii, wyjaśniła mi, że u niej w Saksonii też tak jadano sałatę. Więc pewnie był to wpływ teściowej babci, prababki Julii. Może to przemawia za tym, że Winterotowie przybyli z Saksonii? Potem babcia podawała już sałatę z octem lub śmietaną. Z ciast – piekła jedynie drożdżowe, a i to rzadko.

Ani rodzice, ani babcia, czy dalsza rodzina nie mówili gwarą praską, lecz literackim polskim z praskim akcentem, ale ze względu na swoje pochodzenie często wtrącali niemieckie wyrazy, jak np. lufcik, luft, a ziemniaki nazywali kartofłami. I często używali żydowskich zwrotów, np. kiepełe (z uznaniem o kimś, kto jest mądry), myszygene (wariat).

Julia i Karol Winteretowie – moi pradziadkowie

Nie wiadomo skąd ani kiedy przybyli do Warszawy Winterottowie, Julia z Göringów i Karol Winterottowie, którzy potem spolszczyli swoje nazwisko na Winterotowie. Byli protestantami, więc może przyjechali z Brandenburgii czy Saksonii? W 1936 roku brat Karola przyjechał z Berlina ze swoimi synami w odwiedziny do Warszawy. Ci synowie potem zginęli: jeden pod Stalingradem, drugi w bitwie o Anglię. Wtedy ich przyjazd to było wydarzenie rodzinne. Spotkali się ostatni raz. Za rządów Hitlera stosunki polsko-niemieckie były bardzo napięte.

Winterotowie przybyli pod koniec XIX lub na początku XX wieku, na pewno za czasów panowania Rosjan. Osiedlili się na tzw. Nowej Pradze, może już wtedy na ul. Stalowej (gdzie na pewno mieszkali przed II wojną), gdyż Karol pracował w odlewni stali, późniejszej zbrojowni rosyjskiego okręgu wojskowego.

Ówczesna Stalowa i inne ulice Nowej Pragi to kamienice czynszowe, budowane dla robotników, bez żadnych wygód. To długie jezdnie brukowane „kocimi łbami” i płytkie rynsztoki, niezdolne do opanowania większych burz. Ale Stalowa to centrum ówczesnej Nowej Pragi, tutaj były największe sklepy (w 90% żydowskie), niewielki bazar, restauracje i szynki.

Mieli 5 dzieci: Jana (to mój chrzestny ojciec), Edwarda (1900–1968), który pobudował w latach międzywojennych największy dom w Bukowie pod Warszawą, Juliana, mojego dziadka, Annę, zwaną Andzią, po mężu Kowalczyk, i o polskim imieniu moją ukochaną ciocię Wandę, po mężu Nowaczyk. W 1915 roku z rozkazu Rosjan ewakuowani zostali w głąb imperium. Wrócili po rewolucji w 1920 roku przez Krym i Rumunię. Szkoda, że tego powrotu nikt nie spisał. W każdym razie wrócili do Polski, a nie do Niemiec. Do końca swych dni rozmawiali po niemiecku, w przeciwieństwie do dzieci, które jedynie używały niemieckiego, zwracając się do ojca „Vater”, a do matki „Mutter”.

Pradziadkowie zamieszkali na ulicy Stalowej, gdzie z czasem Karol założył mały zakład ślusarski. Po wojnie zakład ten prowadził jego

syn Jan i mąż ciotki Wandy, a później jego synowie. Wszyscy synowie pradziadka rozpoczęli pracę w zakładach amunicyjnych „Pocisk” przy ul. Mińskiej 25, a córki powychodziły za mąż. Przy wyznaniu protestanckim pozostali pradziadkowie i najstarszy ich syn, Edward. Pozostali z czasem przeszli na katolicyzm. Pradziadek „dorobił się” – jak to się wtedy mówiło – małego domku w podwarszawskim wtedy Bukowie, obecnie to już Warszawa, gm. Tarchomin. Dobra wsi Buków należały do Laskowskiego, który parcelował je na działki i sprzedawał. Po II wojnie światowej moi rodzice kupili działkę także od niego. Do tej pory (oczywiście po przebudowach) zachował się dworek Laskowskiego. W dzieciństwie mnie fascynował, szczególnie kwiatowy klomb przed wejściem i budynki gospodarcze (stajnie, stodoły, czworaki dla pracowników folwarcznych, wszystko już wtedy w ruinie).

Buków znajdował się na linii kolejowej Warszawa–Jabłonna, ukończonej w 1900 roku. Jej długość wynosiła 27 kilometrów. Stacje kolejowe położone na trasie były drewnianymi budynkami w tzw. stylu świdermajeru. Najważniejsza z nich na terenie Warszawy – stacja Most – znajdowała się przy moście Kierbedzia.

W Bukowie stoi nadal mały, niepozorny „pradziadkowy” domek, ale już nie należy do rodziny. Przed II wojną cała rodzina zjeżdżała tutaj na wakacje. We wrześniu 1939 roku mało nie doszło do tragedii. Niemcy znaleźli w piwnicy domu karabin. Zostawił go polski żołnierz, gdy po klęsce wrześniowej przebierał się u pradziadka w cywilne ubranie. Niemcy chcieli pradziadka rozstrzelać i tylko dobra znajomość języka niemieckiego uratowała go przed śmiercią. Tutaj babcia z ciotką Wandą schroniły się podczas powstania warszawskiego w 1944 roku. Niemcy mieszkali obok, bo zajęli dom wujka Edwarda. Szukali dziewczyn do „zabawy”. Babcia zainfekowała mamie oczy, przewięzała starą szmatą, położyła do łóżka. Kiedy Niemcy przyszli po bimber, (przychodzili często, bo mogli porozumieć się z pradziadkiem po niemiecku) pradziadek przekonał ich, że jego wnuczka ma tyfus. I tak pradziadek uratował moją mamę. Niemcy panicznie bali się tyfusu. Pamiętam ten domek z dzieciństwa, gdy przychodziłam do ciotki Andzi, która tam mieszkała. Wybuch granatu w 1939 roku oberwał jej rękę. Kartofle obierała osadzając je na gwoździu nabitym na pieńku. Dom składał się z kuchni i dwóch pokoi. Kuchnia jak kuchnia, ale za to pokój! Był umeblowany jeszcze w pradziadkowe meble gdańskie – piękną szafę, komodę, stół i krzesła. Nie wiem co się z nimi stało. W drugim pokoju niewiele co było. Dla nas najważniejsza była waga, na której ważyliśmy jabłka, groszek

i inne takie rzeczy. Teraz myślę, że ciotka była bardzo biedna. Kiedyś musiała być ładną kobietą. Zdjęcie, które mam, pokazuje ładną blondynkę, najładniejszą spośród całej trójki. Z opowieści pamiętam, że Annę, „która lubiła mężczyzn” wydano szybko za męża za Wacława Kowalewskiego, małego pijaczka, z którym graliśmy w karty, w tysiąca lub 66. Kiedy rodzina dom sprzedała, ciotka została umieszczona w przytułku. W latach 70. umarła. Chyba mama pojechała na jej pogrzeb do Marek czy Kobyłki. Miała jedną córkę Wandę i jedną wnuczkę Jolanę – młodszą o 3–4 lata ode mnie. Wanda też wyszła za pijaka, nie miała żadnego wykształcenia, pracowała jako pracznica w Szpitalu na ul. Oczki. Rodzina traktowała je lekceważąco, niezbyt pomagała – chociaż ciotce i wujkom Wandy powodziło się dobrze – oczywiście jak na warunki powojenne. W latach 60. nasze drogi się rozeszły. Ale o tym potem.

Domek z ogrodem został sprzedany w 1970 roku, a pieniądze ze sprzedaży podzielone między spadkobierców. Moja mama dostała je jako córka nieżyjącego Juliana Winterota. Wpłaciła je do Spółdzielni Mieszkaniowej i to był początkowy kapitał na mieszkanie przy ul. Mickiewicza 66.

Wujka Edwarda prawie nie znałam, chyba nie utrzymywał stosunków z rodzeństwem. Fama głosiła, że był bardzo skąpy. Jego żona, ciotka Janina prowadziła sklep spożywczy we własnym domu. Podczas wakacji w Bukowie moim obowiązkiem był zakup chleba, co nie było proste. Czekano się długo przed sklepem, dopóki z Henrykowa nie przyjechał zielony furgon piekarza Sierańskiego ciągniony przez konia. Jaki dobry był ten chleb z chrupiącą skórką! Wieczne kolejki, wieczny brak wszystkiego to był realizm życia w PRL.

Wuj Jan był chrzestnym moim i mojej mamy. Nie miał dzieci. Jego pierwszą żoną była ciotka Genia (Genowefa), z którą się rozwiódł i ożenił z ciotką Stasią z dorosłą córką. Jakoś rodzina nie lubiła ani nowej ciotki, ani jej córki Eli. Głównym zarzutem było, że wyciągają pieniądze od wujka, co pewnie było prawdą. Ale były też i inne. A to, że pasierbica źle się prowadzi, a to, że tańczy „na deskach” w Buchniku. Później Ela wyszła za męża, a ciotka Stasia gdzieś zaginęła, chyba się rozwiedli.

Genia, po rozwodzie z wujem Janem, wyszła za męża za właściciela cukierni Władysława Grabowskiego, z którym miała dwóch synów: Jacka i Grzegorza, starszych o dwa – cztery lata ode mnie. Władysław Grabowski na ówczesne stosunki praskie to był gość: prywatna inicjatywa, znał wszystkich w Urzędzie Dzielnicowym, wszystko potrafił załatwić (wiadomo łapówki), miał samochód, domek w Bukowie i występo-

wał w telewizji w popularnym „Tele-Echu” prowadzonym przez słynną Irenę Dziedzic, gdzie reklamował własne miody. W latach późniejszych cukiernia należała do młodszego syna Jacka, a potem wszystko się skończyło.

Tu muszę nadmienić, że wszystko to działo się w jednej kamienicy przy ulicy Stalowej 53. Były mąż ciotki Geni mieszkał w oficynie, a obecny od frontu. Winterotowie nigdy nie zerwali więzów z Genią, która była nadal jedną z nich. Wszyscy się wzajemnie się gościli, teraz Genię z nowym mężem. Kiedy jej synowie dorosli, ciotka rozwiódła się ze swoim cukiernikiem i ponownie wyszła za mąż za Jana. Dożyła setki. Wraz z Janem leży na Cmentarzu Bródnowskim w grobie swoich teściów, a moich pradziadków.

Moja ulubioną ciotką była ciotka Wanda, najmłodsza córka pradziadków. Jej mężem był Waldemar Nowaczyk, Polak z Wielkopolski. Mieli trzech synów: Janusza, Leszka i o rok ode mnie młodszego Andrzeja. To ona była motorem całej rodziny, urządziła wigilie, święta, imieniny, urodziny. Miała duszę artystyczną. Siostrzenica i bratanica ciotki Wandy nosiły jej imię. Czy to przypadek, czy wyraz uznania dla ciotki?

Mimo rozstania moich dziadków, ciotka Wanda utrzymywała z nami bardzo bliskie stosunki i nie akceptowała poczynań swojego brata Juliana.

Nowaczykowie mieszkali też na Stalowej 53, ale później przenieśli się na Małą 15, do kamienicy z 1901 roku. Mieli tam dwa pokoje z kuchnią i ubikację. I to w tym mieszkaniu odbywały się wigilie, pamiętane przeze mnie do dzisiaj. Kamienica ich kontrastowała z drewniakiem, w którym działała prywatna pralnia i farbiarnia. Dzisiaj wznosi się tutaj wysoki blok z lat 90. XX wieku, który nieco imituje przedwojenną zabudowę.

Żadna z ciotek nie pracowała zawodowo. Prowadziły dom, wychowywały dzieci, czasami dorabiały, np. szyciem, jak ciotka Wanda.

Zachowała się w mojej pamięci tylko jedna opowieść o prababce Julii. Ponoć na łożu śmierci córki zmusiły ją do przejścia na katolicyzm. Trwało powstanie warszawskie, nie było szans na pochowanie matki na cmentarzu ewangelickim na Woli. Ksiądz z cmentarza bródnowskiego oświadczył, że jako kacerkę pochowa ją pod płotem.

Na Pradze mieszkali jeszcze inni Winterotowie, stryjeczne rodzeństwo pradziadka.

Amelia i Julian Winterotowie – moi dziadkowie

Amelia Irena z Blachowiczów Winterot (1901–1981) urodziła się na Pradze, na ul. Brzeskiej z ojca Szczepana i Józefy ze Strusińskich. Moi pradziadowie być może przybyli z Chyliczek, pow. Iwiczna, na co wskazuje podniszczony dokument w moich zbiorach. Babcia, wcześniej osierocona przez matkę, miała ciężkie dzieciństwo. Ojciec Szczepan, pracujący w warsztatach kolejowych, nie lubił się przemęczać. Za to lubił grę w karty i często przegrywał, niestety. Kiedy wszyscy bracia i siostry jego żony wyjeżdżali „za chlebem” do USA, on się uparł, że nigdzie nie pojedzie. Oczywiście imigrantom w USA powiodło się, aż do wybuchu II wojny światowej przychodziły od nich listy. Po śmierci żony mój pradziadek szybko ożenił ponownie. Gdzieś mi się zawieruszyło zdjęcie jego drugiej żony. Była brzydką kobietą, z zaciśniętymi ustami, no i była macochą. Zaraz zaczęła rządzić po swoim. Najmłodszego 5-letniego Stasia wysłała na wieś do pasionki, gdzie się przeziębił i wkrótce umarł, kilkunastoletnia Apolonia umarła na gruźlicę. Została czwórka: Amelia, Stefania, Julia i Ignacy. Rodzeństwo szybko przestało się uczyć i poszło do pracy. Kiedy zmarł pradziadek, nie wiem.

Życie sióstr i brata nie potoczyło się dobrze. Stefania, po mężu Pietrzak, wyszła za mąż za Dominika (ur. 1886), pracownika Zbrojowni nr 2, jakiegoś kolejnego nicponia i pijaka w rodzinie. O dziwo, zachowała się u mnie jego książeczka ubezpieczeniowa. Para miała jednego syna Henryka, który zginął w KL Auschwitz. Heniek to ulubiony kuzyn mamy. Pięknie malował i zachowany do dzisiaj pamiętnik mamy jest pełen jego rysunków. Ożenił się z Haliną, dziewczyną z Annapola – dzielnicy niewyobrażalnej biedy. To małżeństwo uważane było w rodzinie za mezalians. Chociaż może Halina nie była taka biedna, skoro jej matka była akuszerką? W każdym razie wesele tej pary długo komentowano w rodzinie. Dlaczego? Bo stół dla rodziny panny młodej uginał się od mięsiwa i pasztetów, a na stole dla rodziny pana młodego była jedynie kiełbasa i śledzie. Jawne lekceważenie! Małżeństwo nie trwało długo, bo Heniek w 1942 roku zginął. Po wojnie Halina z synkiem, Waldkiem, wyjechała do Wrocławia, by tam zacząć nowe życie. Kilka razy w roku przyjeżdżała do Warszawy już z dorosłym Waldkiem i odwiedzała mamę. Ale mama nie lubiła gości, nigdy do nich nie pojechała, nawet na ślub Waldka, chociaż była jego chrzestną matką.

Ciotka Stefa, załamana po śmierci jedyne go syna, mieszkała w tym samym domu co my, na Szwedzkiej 25 m. 12. Pomagała mojej mamie w szyciu. Umarła w 1953 roku na skręt kiszek w szpitalu Przemienie-

nia Pańskiego. Wizyta pod szpitalem to moje pierwsze zamglone jeszcze wspomnienie. Mama pokazuje mi „ciocine” okno, a ja siedzę w wiklinowym wózekku. Jest pochowana w jednym grobie z babcią na Bródnie. Na pomniku widnieje tablica upamiętniająca jej syna Henryka Pietrzaka.

Druga siostra, Julia Górzyńska mieszkała w Chełmie. Jak tam trafiła, z czego żyła, co stało się z mężem – nie wiem. Na fotografii widać ładną kobietę, z opowieści wiem o jej talencie artystycznym. W tym Chełmie w czasie okupacji żyła z żonatym mężczyzną, Leonem Nesterowiczem. Jesienią 1942 roku zostali aresztowani przez gestapo za słuchanie radia, ponoć doniosła jego żona. Ona miała wtedy 35 lat, on – 40. W latach 90. poszukiwałam ich wśród więźniów w KL Lublin i KL Auschwitz. Nigdy nie odnalazłam. Babcia rzadko mówiła o swojej siostrze.

Ignacego, brata babci, znałam osobiście. Pamiętam go jako chudego, zgarbionego, niesympatycznego człowieka. Pracował u wujka Grabowskiego w cukierni, gdzie latem kręcił lody. Więc może to była praca dorywcza? Mieszkał z żoną i dwoma synami na Żąbkowskiej przy fabryce wódek „Monopol”. To była piękna kamienica, w której okna na klatce schodowej miały granatowo-żółte witraże. Czasami z babcią tam chodziliśmy. Jego żona była miłą kobietą, podczas gdy sam Ignacy to milczek i dziwak. Słyszałam jak babcia mówiła to mamy, że jej bratowa ma krzyż pański z Ignacym. Starszy z ich synów, Wojtek był tak samo milczący i dziwny jak jego ojciec.

I wreszcie Amelia (1901–1981), moja babcia. Poznała dziadka w Zakładach Amunicji „Pocisk”, gdzie pracowała. Myślę, że teściowie nie byli zbyt zadowoleni z biednej synowej. Ale młodzi się pobrali i to dwukrotnie: ślub katolicki wzięli w kościele św. Floriana, a protestancki w kościele św. Ducha na pl. Małachowskiego w 1923 roku. Co wskazuje, że dziadek był wtedy jeszcze protestantem. Po zamążpójściu babcia przestała pracować, bo takie były ówczesne obyczaje. Zamieszkali najpierw w „słynnym, rodzinnym” domu przy Stalowej 53, a później na ul. Szwedzkiej 27. Budynek ten został zniszczony we wrześniu 1939 roku. Ich pierwsze dziecko umarło w niemowlęctwie. Drugim była moja mama Irena Romualda urodzona w 1926 roku. Córkę babcia wychowywała w religii katolickiej, dziadkowi – jak wszystko inne – było to obojętne. Nawet nie zadbał o wykształcenie jedynej córki. Nie był dobrym mężem. Lubił kobiety, zabawy, alkohol. W przeciwieństwie do swoich braci nie interesował się warunkami materialnymi życia. Po wojnie związał się z jakąś kobietą i odszedł od babci. W 1958 roku dziadkowie rozeszli się formalnie. Babcia przeżyła to strasznie, bo bardzo kochała męża.

W swojej dumie nie chciała od niego alimentów, co było nierozsądne. Nie miała własnych pieniędzy, była uzależniona od rodziców, a głównie mamy. Prowadziła dom, pomagała w moim i mojej siostry wychowaniu, a mamie w szyciu. Lubiła czytać książki, których miała całą biblioteczkę. Szczególnie ceniła Kraszewskiego. Kolekcjonowała widokówki, ich pudła stały na Szwedzkiej. Wszystko się pogubiło. Minimalną część tej kolekcji mam w domu.

W dzieciństwie kochałam babcię bardzo, chyba bardziej niż rodziców.



Amelia Winterot, moja babcia

To dziwne i smutne! Była taka ważna dla mnie, a tak mało mogę o niej napisać. Zaledwie kilka faktów. Ale myślę często o babci, częściej niż o rodzicach. I gdy coś mi w życiu zagraża, to wzdycham do niej o pomoc, tak jak w dzieciństwie. Byłyśmy w sensie psychicznym bardzo podobne do siebie. Ale tak to jest, że jest się podobnym do dziadków, nie do rodziców. I myślę, że to ona przeprowadzi mnie na drugi brzeg rzeki...

Irena i Leonard Gzelowie – moi rodzice

Irena Romualda Gzel

Moja mama (1926–2002) urodziła się na ul. Szwedzkiej. Chodziła do szkoły podstawowej przy ul. Kowieńskiej, wakacje spędzała u dziadków

w Bukowie. Zawsze mówiła, że miała smutne dzieciństwo z ojcem hulaką, który przesiadywał w szynkach. Ojciec, jako pracownik „Pocisku”, zarabiał świetnie, ale dużo wydawał na swoje przyjemności, rodziną interesował się słabo, więc czasami było biednie. Kiedy wybuchła wojna miała 13 lat. To był koniec jej dzieciństwa. Ukończyła kurs kroju i szycia, a w 1943 roku III Miejską Szkołę Zawodową Żeńską.



Mama jako uczennica

Mama podczas okupacji przeżyła młodzieńczą miłość do Edka Siwika, brata swojej koleżanki Scholastyki, o której będzie jeszcze mowa. Wspominała wspólne pikniki, będące tak naprawdę akcjami AK. Podczas jednego tych pikników z furmanki wiozącej roześmianą młodzież wysypała się źle zabezpieczona broń. Wkrótce nastąpiła wpadka całej siatki i Edward zginął zamordowany na Szucha. Mama zawsze do niego wzdychała, tak jak Barbara Niechcic do Toliboskiego. Potem nadeszły ciężkie czasy powojenne. Dziadek odszedł, a mama utrzymywała siebie i babcię z szycia. Klientek miała mnóstwo, gdyż kobiety chciały odreagować lata wojny i znów być zadbane i ładne. Wspominała, że po powstaniu szyla im sukienki za siatkę kartofli. Nie lubiłam słuchać tych opowieści, zawsze były smutne i strasznie mnie dołowały.

W 1949 roku wyszła za mąż za Leonarda Gzela, znajomego sąsiadki Danuty Mikos. Młodzi wzięli ślub w kościele pw. Matki Boskiej

z Lourdes na ul. Szwedzkiej (zdjęcia ze ślubu mama podarła), wyjechali w podróż poślubną do Krynicy, a później zamieszkali we trójkę na Szwedzkiej. Finansowo powodziło im się nieźle, mama nie pracowała zawodowo, szyła tylko w domu. Wkrótce mogli sobie pozwolić na zakup działki w Bukowie. Ale z czasem okazało się, że małżeństwo jest nieudane. Mąż, podobnie jak jej ojciec, lubił alkohol. Pod koniec lat 60. XX wieku rodzice rozeszli się. Mama została z dwoma córkami i starą matką, która nie miała ani emerytury, ani renty. W 1970 roku zaczęła pracować w zakładach odzieżowych „Leda”, a po pracy szyć w domu. Mama szyła pięknie, wymyślała nowe fasony, doradzała klientkom. To było jej całe życie.

To nieudane małżeństwo, a potem trud i ciężar psychiczny utrzymywania całego domu podkopał jej delikatne zdrowie psychiczne. Kiedy wreszcie dostała rentę, szyła tylko w domu i wciąż miała dużo klientek. Wszystko zmieniło się po 1989 roku. Klientki się zestarzały, zbiedniały, nastąpił zalew ciuchów z Turcji, sprzedawanych z łóżek polowych na ulicy, i mama nie miała dla kogo szyć. Bardzo to przeżywała. Coraz bardziej zamykała się w sobie, nie chciała do nas przyjeżdżać, pędziła smutne, samotne życie.

Leonard Hipolit Gzel

Mój ojciec (1922–2007) urodził się przy ul. Kowieńskiej. W domu była bieda i siedmioro dzieci. Mój dziadek Adam z zawodu był listonoszem, ale już przed wojną był na emeryturze. Skąd to nazwisko? Rodzina pochodziła ze wsi Sadowne, pow. Węgrów, gdzie mieszkali koloniści niemieccy, więc może to jacyś potomkowie. Jeszcze dziadek pisała się Gzell. W Szwajcarii mówiono mi, że niedaleko Davos jest dolina Gsell, to może stamtąd. Ale skąd na mazowieckiej wsi wzięłyby się Szwajcar? Byli chłopami, więc żaden guwerner szwajcarski do nich nie przyjechał. Dziadek Adam zginął podczas okupacji zastrzelony przez Niemców gdy szmuglował żywność. Babcię widziałam tylko raz i zapamiętałam ją jako chudą staruszkę, całą w czerni, której się bałam. Wkrótce umarła.

Sytuacja materialna rodziny ojca się poprawiła się tuż przed wojną. Siostry poszły do pracy, ojciec uczył się na ślusarza. W 1943 roku został zatrzymany w łapance i trafił do KL Flossenburg. Nigdy o tym nie mówił, a ja nie pytałam. Po wojnie wrócił do Polski. W czasach mojego dzieciństwa pracował w Spółdzielni „Promień”, która mieściła się w piątej bodajże oficynie przy ul. Kijowskiej (produkcja) i na Radzymiń-

skiej (biura). Spółdzielnia produkowała zabawki: drewniane ruskie baby – „wańki-wstańki”, domki dla krasnoludków, Indian, Eskimosów, Murzynów, a później bierki, domino i szmaciane lalki. Na początku lat 60. spółdzielnia upadła. Ojciec poszedł do fabryki „Pollena”, gdzie pracował do samej emerytury. W 1968 roku wyprowadził się od nas z domu, zamieszkał w Bukowie i po rozwodzie zaczął budować domek na swojej części działki. A potem ożenił się.

Z jego braćmi i siostrami mama nigdy nie utrzymywała kontaktu. Mama nie zносиła rodziny ojca i mówiła, że to sami pijacy i biedacy. I uważała, że popełniła megalomanię wychodząc za ojca, ulegając namowom babci, by wyszła za męża, bo „im dokwaterują kogoś do mieszkania na Szwedzkiej”. Na początku lat 60. przez krótki okres kontaktowała się z Urszulą, żoną wuja Wojtka. W zasadzie nie wiem dlaczego, bo z tą Ulą to naprawdę była kompromitacja rodzinna. Wojtek był w wojsku, a Urszula służyła u Jerzego Andrzejewskiego, znanego wtedy, a dzisiaj już zapomnianego pisarza, który mieszkał na ul. Jagiellońskiej róg Świerczewskiego (obecnie: Solidarności). Były to lata wielkiej miłości Andrzejewskiego do Marka Hłaski, który nawet na Jagiellońskiej pomieszkiwał. W każdym razie Urszula została kochanką Andrzejewskiego czy Hłaski, może obu. I z tego związku urodził się syn, o kilka lat młodszy ode mnie. Miałam fotografie z jego chrztu, już jako 5-letniego chłopca, gdyż ojciec był chrzestnym. Ale mojemu mężowi zdjęcia te były potrzebne do artykułu, wziął je i oczywiście zaginęły. O tej historii pisze bodajże Joanna Szczęsna czy Anna Bikont. Chłopiec, o zapomnianym przeze mnie imieniu, z nieznanego ojca, po maturze wyjechał do Anglii i ślad po nim zaginął. Małżeństwo Wojtka i Uli przestało istnieć, a i znajomość mojej mamy z nią nagle się skończyła.

Boże Narodzenie

Pierwsze wigilie, które pamiętam były spędzane u ciotki Wandy, tej która miała duszę artystyczną. Zawsze była duża choinka, pięknie udekorowany stół. Jednego roku wszystko było białe-srebrne, a drugiego kolorowe. Za św. Mikołaja przebierał się jeden z synów ciotki. Którejś wigilii znaleźliśmy z kuzynkiem Andrzejem w ubikacji maskę św. Mikołaja. Miałam wtedy 8–9 lat, a Andrzej o rok mniej. Mit św. Mikołaja upadł na zawsze. Na kolację wigilijną podawano karpia, śledzie, sałatkę kartoflano-śledziową (czyżby kuchnia niemiecka?), czerwoną kapustę. Ciasta drożdżowe, sernik, makowiec.

Na święta wtedy zawsze był mróz i padał śnieg. Byłam wielkim zmarzlakiem, wciąż było mi zimno. Stopy zawijali mi gazetami i dopiero potem zakładałam skórzane, wiązane buty.

Później, po rozstaniu się naszych rodzin, wigilie już były spędzane tylko we własnym gronie na Szwedzkiej czy Wileńskiej. Nie było gości, więc były smutniejsze. Prezenty też były skromne. Pamiętam książki *Awantura o Basię* oraz *Ania czy Mania*. Zawsze była czekolada „Józefinka”, którą bardzo lubiłam. *Awanturę o Basię* czytałam po kolacji wigilijnej aż do samego wieczora, siedząc pod piecem. Jak mi się podobała! Potem przyjęłam imię Barbara na bierzmowaniu. Dzisiaj się dziwię, że mojej córce nie dałam tego imienia. Ale kiedy ona się rodziła, ja miałam wieloletni „okres francuski”. I stąd francuskie imię Emilia, tak modne z XVIII i XIX wieku. Za to moja wnuczka ma na imię Basia.

Wielkanoc

Za moich czasów świętowanie Wielkanocy nie było już takie tradycyjne i uroczyste jak niegdyś. We wczesnym dzieciństwie dostawałam zawsze specjalne święcone dla lalek, robione z jakiejś masy. Mama wspominała, że ona w dzieciństwie dostawała taką święconką z marcepanu. Na miniaturowym stoliczku znajdowała się szynka, świńska głowa, pęto kielbasy, kolorowe jajka i karafka z dwoma kieliszkami. Do karafki babcia wlewała mi kompot, który piłam z lalkami i często z moim kuzynkiem Andrzejem. Święconkę kupowało się zawsze w warzywniaku na Stalowej przy Czynszowej lub na niezawodnym bazarze Różyciego. Oprócz mojej koleżanki Ewy Furmańskiej nikt tego nie pamięta. Może to jakiś obyczaj warszawski, a warszawianką od kilku pokoleń jest tylko Ewa i ja. Pisze o tym także Maria Iwaszkiewicz w swoich wspomnieniach *Z pamięci*.

Z przygotowań do Wielkanocy pamiętam jedynie pieczenie schabu, gotowanie nogi od szynki (i to tylko w latach 50., kiedy mieszkaliśmy na ul. Szwedzkiej), barwienie jajek w łuskach od cebuli. Na Wielkanoc pewnie chodziliśmy do ciotki Wandy, a później zostało mi w pamięci jedno wyjście wielkanocne do dalekich powinowatych Kłopotowskich, aż na ul. Górczewską.

Na Wielkanoc nadal obowiązywał zwyczaj jedzenia potraw na zimno, ale zawsze był żur. Z ciast były u nas baby drożdżowe i sernik. Nigdy nie było mazurka. Mama z oszczędności nie chciała go kupować, a ja do

tej pory pamiętam tamten swój żal. Teraz na moim stole wielkanocnym mazurek jest najważniejszy.

W Wielką Sobotę chodziliśmy z ojcem do praskich kościołów, czyli raptem do trzech: do naszego, czyli Matki Boskiej z Lourdes, św. Floryana i Matki Boskiej Loretańskiej przy ul. Ratuszowej. Dziwne, ale nigdy nie jeździło się na Stare Miasto. O, Stare Miasto wtedy było daleko, bo za Wisłą.

W lany poniedziałek oblewaliśmy się wodą kolońską. Za to na ulicach odbywało się tradycyjne „lanie”. Nigdy nie wychodziłam sama w lany poniedziałek.

1 listopada – Dzień Wszystkich Świętych

Czekałam na nie zawsze, bo to był pierwszy dzień wolny od szkoły po wakacjach. Zarówno ze Szwedzkiej, jak i z Wileńskiej na cmentarz chodziliśmy pieszo. Babcia zostawała w domu, by gotować obiad. Odwiedzaliśmy grób ciotki Stefy, pradziadków. Kupowało się chryzantemy i papierowe żałobne chorągiewki, czasami wianuszki ze świerku. Miałam pretensje, że mamy tak mało grobów. Oczywiście były tłumy, ale to nie było obecne szaleństwo. Po wyjściu z cmentarza zatrzymywaliśmy się przed kramami. Czego tam nie było! Gliniane pieski, kury i koguty. Można była zakręcić korbką i wygrać jakiś upominek. Ale z reguły wygrywało się balonik lub gwizdek.

Święto 1 Maja

Oczywiście żadnego święta komunistycznego nie obchodziliśmy. Raz tylko pojechałam z ojcem na pochód 1-majowy. Miejsce zbiórki znajdowało się na pl. Dzierżyńskiego (obecnie pl. Bankowy). Było tak kolorowo. Na wietrze łomotały chorągwie, transparenty, rozdawano kwiaty z krepiny i żywe, białe i czerwone goździki. Z ciężarówek sprzedawano parówki, cukierki i oranżadę. W szkole średniej 2 lub 3 razy uczestniczyłam w pochodzie. Jako że akurat trwała wojna USA z Wietnamem mieliśmy wietnamskie kapelusze na głowie, a w rękę czerwone kwiaty z krepiny. Z megafonów przedstawiano nas: „Oto idzie XIII Liceum im. Ludwika Waryńskiego na Pradze. Niech żyje młodzież!”. To były emocje! Wykrzykiwaliśmy: „Niech żyje”, a na trybunie wypatrywaliśmy towarzysza Gomółkę.

Buków

W 1949 roku rodzice i wujostwo Nowaczykowie kupili w Bukowie w gminie Jabłonna dwie działki obok siebie. Rodzice i wujostwo postawili dwa drewniane domki. Pompa i wygodka były w ogrodzie. Kolejka do Jabłonnicy już nie kursowała, gdyż została zlikwidowana w 1956 roku, i ja jej już nie pamiętam. Jeździliśmy autobusem nr 303 (?), który odchodził z ul. Ratuszowej do Buchnika. Każdego roku ojciec z pracy wynajmował ciężarówkę i z ubraniami, poduszkami, garnkami jechaliśmy do Bukowa. Prawdziwy wyjazd na wakacje rodem z XIX wieku. Ojciec na motorze dojeżdżał z pracy. Mama przyjeżdżała w niedzielę. Do domku obok zjeżdżał kuzyn Andrzejek, a do ciotki Andzi jej wnuczka Jola. Bawiliśmy się we trójkę, głównie odgrywaliśmy sceny z Trylogii (to ojciec nam opowiadał przygody bohaterów).

W 1957 roku poznałam tam mojego dziadka Juliana Winterota, który przyjechał do swojej siostry Wandy. Pamiętam podniecenie z tego powodu.

„Popatrz Julek – powiedziała ciotka – do Twoja wnuczka – Izunia”.

Dygnęłam.

Nie pamiętam czy mnie uścisnął, czy się uśmiechnął. Nie był mną zainteresowany. Byłam rozczarowana. Wkrótce potem zmarł (1959 r.). Jest pochowany na Bródnie. Nigdy nie byłam na jego grobie.

Lato 1962 roku spędzałam tylko z tatą. I to były najlepsze wakacje mojego dzieciństwa. Jeździliśmy motorem do Jabłonnicy, Pomiechówka, Chotomowa, w okolice kanału Żerańskiego, gdzie jeszcze były wioski bez elektryczności. Chodziliśmy na grzyby do Choszczówki. Na obiady jeździliśmy do Buchnika, do małej prywatnej restauracji „U Ciupka” – chyba to myśmy ją tak nazwali. Na rosół, kurę i mizerię. W tych wędrówkach często mijały nas wozy cygańskie, które grupowały się w lasku w Buchniku niedaleko jeziora, zwanego Niwka. W ogrodzie ojciec zbudował nam szałas ze starych desek, gdzie mieliśmy ukryte różne przysmaki.

I nagle wszystko się skończyło. Jakaś wielka awantura, mama z babcią oskarżały ciotkę Wandę, że „prowadzi burdel”. O co chodziło, nigdy się nie dowiedziałam. Ciotka miała romans z moim ojcem? W jej domu spotykał się z jakąś kobietą? A może chodziło jeszcze o sprawę sprzed lat, związaną z dziadkiem Julianem? Pytałam wielokrotnie mamę i ojca, ale nie dostawałam odpowiedzi. Po awanturze i rozstaniu się naszych rodzin w 1962 roku wujostwo sprzedali swoją część działki. Kupili coś nowego nad Jeziorem Zegrzyńskim. Nigdy się już nie spotkaliśmy.

Po rozwodzie rodziców działka została podzielona na dwie oddzielne. Na swojej części ojciec pobudował mały domek, w którym zamieszkał z nową żoną. W 2018 roku działka została sprzedana, a pieniądze poszły na budowę domu mojej córki. I tak skończyły się dzieje Bukowa w życiu Winterotów, Nowaczyków i Gzelów.

Szkoła Podstawowa nr 89 im. Henryka Sienkiewicza

Nie chodziłam do przedszkola, więc pójście do szkoły to było przeżycie. Budynek szkoły powstał w 1935 roku i pomieścił trzy praskie podstawówki, każdą na innych piętach. W uroczystym poświęceniu szkoły uczestniczyła Aleksandra Piłsudska, żona marszałka. Podczas okupacji hitlerowcy przejęli szkołę i urządzili w niej szwalnię, areszt dla radzieckich jeńców, a po wybuchu powstania warszawskiego mieścił tutaj w 1944 roku szpital polowy AK. W 1946 roku do gmachu wróciły szkoły. Obecnie w budynku znajduje się liceum.

1 września 1958 roku mama zaprowadziła mnie do szkoły. Spotkała tam swoją koleżankę Scholastykę, Przybyszewską po mężu (co za dziwne imię), siostrę nieodżałowanej swojej miłości z czasów wojny, zamordowanego przez Niemców – Edwarda. Scholastyka przyprowadziła do I klasy swoją córkę – Bożenę. Obie zostałyśmy zapisane do Ia. Siedziałyśmy w jednej, oczywiście pierwszej ławce, bo obie byłyśmy drobne.

Naszą wychowawczynią została mocno już starsza pani Stephówna, jeszcze nauczycielka mojej mamy. Oczywiście była panną, jak to przedwojenne nauczycielki. Chodziła w czarnym fartuchu z białym kołnierzem, a jej siwe, prawie białe włosy były nienagannie uczesane. My też nosiliśmy fartuchy, a na różne szkolne okazje – mundurki. Lubiliśmy ją. Zorganizowała nam w drugiej klasie wycieczkę do Czarnej Strugi, gdzie jechaliśmy ciuchcią marecką. Był tam sosnowy las, zwały białego, świeżutkiego piasku, w którym bawiliśmy się. Gdzieś około trzeciej klasy pani Stephówna zniknęła. Przedwojenną nauczycielką była też szkolna bibliotekarka, ale już nie tak elegancka jak „nasza pani”. Ja zawsze dużo czytałam, więc bardzo często tam chodziłam. Do dzisiaj pamiętam przedwojenną książkę *Zuch* czy *Zuchy*, której przeczytałam tylko pierwszy tom. Pamiętam perypetie małego chłopca, który zgubił się podczas działań I wojny światowej. Nigdy już nie mogłam na nią trafić. Czasami mnie to męczy, jak fakt, że mam tylko pierwszy tom powieści Benedykta Hertza *Henryś* z 1928 roku. Drugi tom gdzieś, kiedyś czytałam, ale chciałabym do tego powrócić. Cytat z *Henrysia* umieściłam w swojej

książce *Szwajcaria oczami Polaków na przełomie XIX/XX wieku*. Dobrze i to. Może kiedyś uda mi się dotrzeć do Muzeum Książki Dziecięcej na ul. Koszykowej. Drugi tom tam jest, sprawdziłam.

Kierownikiem szkoły był tęgi pan w wieku ok. 50 lat, który uczył, bardzo nudnie, historii. Pamiętam nauczyciela śpiewu (bo miałam zawsze kłopoty jako osoba mało muzykalna), panią Maszczakową nauczycielkę fizyki (została klientka mojej mamy), nauczycielkę biologii (mała, siwa, też w fartuchu, która opowiadała nam o Rasputinie i carewiczu chorym na hemofilię. Później ta historia stała się moją obsesją). Dziwne, że zupełnie nie pamiętam, kto mnie uczył matematyki czy polskiego, przedmiotów, z którymi nie miałam kłopotów. Cenzurki gdzie się pogubiły....

Do szkoły przyjeżdżało kino z filmami *Flip i Flap* czy radzieckimi *O człowieku, który się kulom nie klaniał*, teatrzyk kukielkowy (ja wychowana na profesjonalnych sztukach Teatru „Baj” czy „Ludowego” byłam bardzo rozczerowana). W pierwszej klasie mieliśmy wycieczkę do Parku Praskiego, później do Kazimierza n. Wisłą czy do Płocka. Z Kazimierza zapamiętałam koguty, a z Płocka pomnik Broniewskiego. W szkole odbywały się w karnawale zabawy, których nie lubiałam. Bałam się, że jakiś chłopak poprosi mnie do tańca. I co wtedy zrobić? Zgroza!! Przedstawienie szkolne odbyło się tylko raz, w drugiej klasie. Była to jakaś bajka o Dziadku Mrozie, a jakże. Grałam śnieżynkę.

Ferie zimowe zaczynały się tuż przed wigilią, a kończyły po święcie Trzech Króli. W tym okresie jeździłam z ojcem na Stare Miasto, by oglądać szopki w kościołach. Co to było za przeżycie! Przykro mi było widzieć ruiny zamku, o którym ojciec mi opowiadał. Zawsze chciałam go odbudować. Mama opowiadała jak to w latach 30. była na wycieczce szkolnej na zamku. I w jednej z sal zamkowych otworzyła jej się walizeczka (moja córka też miała taką walizeczkę na małe wycieczki, przysłaną przez koleżkę z Paryża. U nas w PRL nic takiego nie było, a oto się okazało, że już przed wojną były w użytku), wypadła buteleczka z herbatą i rozbiła się na posadzce. Mama zawstydzona i przerażona rozplakała się. Często do tego wracała, więc to musiało być przeżycie.

Na koniec roku i na swoje imieniny nasza pani wychowawczyni dostawała piękne laurki, malowane przez jednego z ojców. Bardzo się martwiłam o te laurki, gdy dowiedziałam się, że drewniak, w którym mieszkała ta rodzina spłonął, a oni wyprowadzili się gdzie indziej. Faktycznie, laurki już więcej nie było.

Te drewniaki na ul. Strzeleckiej, Kowieńskiej, Bródnowskiej paliły się często. Mówiono, że podpalali je sami lokatorzy, by dostać mieszkanie w nowych blokach budowanej Pragi II czy Muranowa. Takie mieszkanie to było marzenie każdej rodziny.

Lubiłam szkołę, zjeżdżać na tornistrze po schodach, spędzać czas w bibliotece szkolnej, gadać z koleżankami, jeść za 2 złote zupę w stołówce. Jakież było moje zdziwienie, kiedy barszcz z kartoflami podali mi w jednym talerzu, a nie tak jak w domu, gdzie kartofle były na osobnym talerzyku. To tak można?

Przez długie lata znałam na pamięć listę uczniów naszej klasy. Zaczynała się na Adamczyk Marek, Bleszyński Jerzy.... dalej już nie pamiętam.

Mieszkanie przy ul. Szwedzkiej 25 m. 33

To mieszkanie znajdowało się na trzecim piętrze, pokój z kuchnią i zabudowaną klatką (byliśmy jedynymi lokatorami na piętrze). W tej zabudowanej klatce trzymaliśmy beczki z kapustą i ogórkami, a na ścianie wisiała drewniana balia i moje sanki, które kiedyś spadły mi na głowę. W tym mieszkaniu mieszkali moi dziadkowie od 1939 roku, kiedy to spaliła się ich oficyna. Sam budynek został wybudowany na początku XX wieku dla robotników fabryki „Schicht-Leve”. Mieszkanie było bez żadnych wygód – jak to się wtedy mówiło. Tylko zlew z zimną wodą, kuchnia i piec, ubikacja na dole (jeszcze istnieje). Dobrze zarabiający dziadek nie przywiązywał żadnej wagi do materialnej strony życia. Wolał inną jego stronę, tę zabawową. Spałam w pokoju z rodzicami. Mieliśmy taki piękny kredens art déco, toaletkę, zegar. Wszystko zostało sprzedane, kiedy w latach 60. przyszła moda na nowoczesność. Szkoda.

Raz na miesiąc odbywała się akcja pranie. Na noc moczyło się bieliznę w drewnianej balii, rano przychodziła praczka, jadła jajecznicę, wypijała kieliszek wódki i zabierała się do pracy. Bieliznę suszyło się na strychu, a potem maglowało w maglu na ul. Strzeleckiej, gdzie chodziłam z babcią. Widok rozebranych do połowy kobiet, które w parze maglowały i rozciągały swoje poszewki czy obrusy nie opuszcza mnie do dzisiaj. Inny widok to wizyty „baby” z Marek lub z innych podwarszawskich wsi. Otulona chustą, na plecach dźwigała bańki z mlekiem, w rękach koszyk z jajami, masłem, cielęcina, serami. Te baby z cielęcina to symbol PRL.

Jesienią praca w kuchni wrzała – robiło się zapasy na zimę: beczkę z kapustą, którą ja ubijałam nogami i drugą z ogórkami, a w piwnicy składowano węgłiel, kartofle i cebule.

Pod koniec lat 50. na Szwedzką zawitał telewizor Białoruś-5 za sprawą Rosjanki czy Ukrainki mieszkającej w domu NKWD przy ul. Wileńskiej 2/4. Nie wiem jakim sposobem została klientką mamy. Po wakacjach w Dniepropietrowsku przywiozła dla nas ten telewizor. Mały ekranik, program tylko jeden od godziny 16.00. Czasami z mamą chodziłam do tego domu. Legendy miejskie mówią, że zamiast firanek w oknach wisiały tu gazety, ale ja tego nie pamiętam. Na wejściu witał nas sowiecki żołnierz z pepeszą, potem schodziła ona – hoża kobieta ze złotymi zębami. I szliśmy do ich sklepu, w którym niewiele co było: puszki rybne, słonina i bardzo smaczne kolorowe landrynki. Pudełko po nich długo było w naszym domu.

W każdym razie w tym telewizorze oglądałam serial *Zorro* (1957), którego główny bohater Don Diego de la Vega, czyli tytułowy Zorro wzbudzał u mnie zachwyty. Potem były inne seriale *Doktor Kildare* (1961), *Bonanza* (1959), *Święty* (1962). Do tej pory mam zeszyt z recenzjami tych filmów, rysunkami, wklejanymi fotografiami.

Mieszkanie przy ul. Wileńskiej 59 m. 5

Ten odcinek Wileńskiej (od Szwedzkiej do Konopackiej) zwano Ciemnowileńską. Czasami się zastanawiam, czy ktoś jeszcze oprócz mnie o tym wie. Budynek nr 59 powstał w 1926 roku. Był to dom Pierwszej Spółdzielni Mieszkaniowej Lokatorów i Sublokatorów w Warszawie. Kamienica była celowo oddalona od ulicy, aby wszystkie mieszkania miały dostęp do światła i aby można było założyć zieleniec. Przeprowadziliśmy się tam w 1963 czy 1964 roku. Pomógł nam wujek Grabowski, który miał różne układy z urzędnikami ze skarbowki. Pamiętam, że rodziców drogo to kosztowało, ale mieszkanie było warte tego. Dwa pokoje, kuchnia, służbówka, ubikacja, łazienka z drugą ubikacją, gaz, wielki, łamany w literę L przedpokój z okienkiem. Ale znowu było to palenie w piecu, tym razem jednym na dwa pokoje. I znowu niesnaski z ojcem, który nie był zbyt chętny do noszenia węgla z piwnicy. Bardzo żałowałam, kiedy w 1967 roku wyprowadzaliśmy się stamtąd. Tym razem na Pragę II do dwupokojowego mieszkania już ze wszystkimi wygodami. Znowu pomagał wujek Grabowski. I znowu trzeba było dać łapówkę.

Mieszkanie przy ul. Stalingradzkiej 20 m. 511

Tu już był XX wiek. Dwa duże pokoje, łazienka, centralne ogrzewanie, parkiet i jeszcze telefon. Jakimś cudem udało się mamie załatwić pozostawienie numeru telefonu, który był przypisany do tego mieszkania. Okna dużego pokoju wychodziły na ulice Stalingradzką i dalej na ZOO. Nocą słychać było ryki lwów. Mieszkanie znajdowało się na I piętrze dużego socrealistycznego gmachu. Praga II to było małe miasteczko, gdzie znajdowało się wszystko co niezbędne do życia: ośrodek zdrowia, dwa kina „Albatros” i „Mewa”, 2 biblioteki, salon EMPIK-u, poczta, sklepy, szkoły, pogotowie, a nawet hotel, świetne połączenie komunikacyjne z Warszawą.

Parki

Na ul. 11 Listopada ciągnął się kompleks koszar 2. Orenburskiego Pułku Kozaków, które po I wojnie światowej zajął 36. Pułk Piechoty Legii Akademickiej, a po II – żołnierze Dywizjonu Obrony Powietrznej. Kompleks składał się z trzech budynków koszarowych. Niedaleko nich znajdował się plac porośnięty trawą i tam często chodziłyśmy z babcią na „piknik”. Drugim miejscem naszego „piknikowania” był nasyp kolejowy, którym przejeżdżał pociąg z Dworca Gdańskiego, czasami aż do Moskwy, co bardzo działało na moją dziecięcą wyobraźnię. Na nasypie rosła trawa i kwiaty, specjalną siatką łapało się motyle, jadło bułkę z serdelkiem i popijało herbatką z cytryną ze szklanej butelki.

Wyjść do Parku Praskiego i ZOO prawie nie pamiętam. Zastanawiam się, czy w ogóle były.

Biblioteki

Biblioteka publiczna znajdowała się na ul. Środkowej 11. Tutaj, w latach 20. założono bibliotekę im. Staszica Towarzystwa Bibliotek Powszechnych, mającego na celu popularyzację czytelnictwa w biedniejszych okolicach. Do biblioteki zaprowadziła mnie babcia. Pamiętam kurz, brak dostępu do półek i zasuszoną, nieprzyjemną bibliotekarką. Po jakimś czasie wybuchła z nią afera o *Dzieje grzechu* Żeromskiego, których nie chciała mi wypożyczyć. A miałam wtedy z 14 lat. Kolejna biblioteka była już na Pradze II. Zupełnie inna, nowoczesna, słoneczna, z roślinami doniczkowymi, prawie z pełnym dostępem do półek.

Wyjazdy

Nie były to czasy ani środowisko, kiedy się jeździło dla przyjemności. Na wakacje był Buków. Pierwszy był wyjazd do Poznania, Kiekrza i Kórnika do powinowatych wujka Nowaczyka w 1957 roku. Jazda pociągiem trwała całą noc, tłok, ścisk, mnie wsadzano przez okno do wagonu. Pamiętam koziołki na wieży ratuszowej w Poznaniu i potrawkę z gołębia na obiad, którą zwymiotowałam.

Wielki wyjazd był do Chabówki w 1959 roku z przyszywanym wujostwem Kłopotowskimi (jakieś dalekie pokrewieństwo z wujkiem Nowaczykiem) i z ich synami: Stachem i Wojtkiem. Ciotka Janka była urzędniczką w elektrociepłowni na Żeraniu. Raz zabrała mnie na choinkę zorganizowaną w gmachu Związków Zawodowych na Wybrzeżu Kościuszkowskim. Był Dziadek Mróz, śnieżynki, dzieciom rozdawano wianki i czapki, paczki ze słodyczami. Zamiast wianka krakowskiego miałam na głowie „czółko” kurpiowskie. Ciotka bywała u nas często, bo była klientką mamy. Jej mąż, Tadeusz nosił czarne oficerki i wzbudzał respekt wśród dzieci. Czasami przychodzili do nas na różne uroczystości rodzinne i odwiedzali w Bukowie. Ich syn Wojtek, jako student Akademii Medycznej, utopił się w Morzu Czarnym w Warnie. Ciotka zdziwaczała, wuj umarł i tak kontakty urwały się. A Stach? Stach ukończył Wyższą Szkołę Rolniczą w Olsztynie i ożenił się z dziewczyną brata. Ale wtedy w Chabówce mieliśmy odpowiednio po 7, 8, 9 lat. Nie bardzo chciałam z nimi jechać, jak to z chłopcami, z ciotką nie byłam zbyt zżyta, ale mama mnie okłamała, że przyjedzie do mnie później. Nie przyjechała, a ja byłam pełna żalu i tęsknoty. Niewiele pamiętam z tego pobytu: mieszkanie u góralki, ukwiecone łąki, stroje góralskie, jakiś klasztor, gdzie chodziłyśmy po zioła, bo jedno z nas dostało uczulenia na rękę. Kolejny to wczasy ze Spółdzielczości Pracy w Miłomłynie na Mazurach w 1961 roku. Mieszkaliśmy w domkach kempingowych nad jeziorem i głównie zajmowaliśmy się z ojcem zbieraniem grzybów, które potem suszyło się w kuchni ośrodka. Wtedy poznałam nowy gatunek grzybów – osaki z czerwonym łepkiem, których w lasach okolic Bukowa nie było.